



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Kościół N. M. Panny w Kaliszu.

## STULETNIĄ ROCZNICĄ,

W początkach czerwca r. b. odbyła się w kolegiacie kaliskiej, przedstawionej na rycinie naszej, uroczystość obchodu jubileuszowego stuletniej rocznicy koronacji cudownego obrazu św. Józefa, przy licznych napływie pobożnych z okolicy i dalszych stron przybyłych. W dzień rozpoczęcia nabożeństwa pod przewodnictwem ks. biskupa Bereśniewicza, wyszła procesya, przynosząca *breve* papieżkie \*) z kościoła św.

Mikołaja do kościoła katedralnego. Balkony miasta przybrane były kwiatami, dywanami, ze wszech stron przybywały kompanie. Tłumy pielgrzymów doszły wkrótce do 20 tysięcy. Wśród procesyi postępowało sto młodych panienek, mieszkanek Kalisza, w bieli z liliami w ręku. Kościół katedrały ozdobiony był wspaniale. Na zewnętrznej stronie urządzono na wysokości 120 stóp transparent wyobrażający świętą Rodzinę, a po bokach św. Piotra i św. Pawła, pod spodem obrazu był napis, skreślony przez czeladników ciesielskich: „Chwała Ci św. Józefie, nasz patronie”. Transparent ten otoczono wieńcami kwiatów, a z boków obrazu spuszczone dwie duże flagi z płótna białego z niebieskiem; wypisano na nich dwie daty: 1793 — 1896.

Wejście do kościoła przyozdobiono również wieńcami, nad bramą zaś umieszczono napis z białych kwiatów: „Święty Józefie, przyczyń się za nami”.

Ze zmięrczem na wieży kościoła zajaśniała wspaniała iluminacya, transparent oświetlony wewnątrz, odbił na tle różnokolorowych, ze wszech stron palących się ogni sztucznych. Tłumy pobożnych do późnej nocy zanosili modlitwy przed obrazem św. Józefa.

Następne nabożeństwa przez cały tydzień jubileuszowy odbywały się również uroczyście.

Kolegiata czyli katedra kaliska, liczy się do najdawniejszych u nas świątyń, gdyż założoną była pierwotnie w r. 1155 pod wezwaniem św. Pawła w starym mieście Kaliszu. Jąrosław Bogorya Skotnicki, arcybiskup gnieźniński, przeniósł parafę do Nowego Kalisza i zbudował tu kościół, który w roku 1783 rozpadł się w gruzy. Ocalał wśród nich jedynie obraz św. Józefa, słynny łaskami jakie otrzymywali tu ludzie pobożni, udający się pod opiekę świętego patrona. Kościół dziś istniejący odbudowano pod wezwaniem Panny Maryi w 1790 r., za staraniem kanonika katedralnego ks. Kłosowskiego. W kilka lat później obraz św. Józefa został uwieczony koroną poświęconą w Rzymie, czyli ukoronowany, a stuletnią rocznicę tej koronacji, obchodzono obecnym jubileuszem.

\*) Pczwolenie dane na piśmie.

# ŻYCIE W OCEANIE

PRZEZ

Dz. M. Stefańską.

(Dalszy ciąg).

## Rośliny morskie.

*Krasnorosty.* Opisałiśmy wyżej laski i gaiki znajdujące się na dnie morza, a złożone z wodorostów brunatnej barwy. Owe laski z powodu ciemnej barwy byłyby ponure, gdyby nie ożywiała ich tu i owdzie jaskrawa roślinność innych wodorostów; są to prześliczne w różnych odcieniach różowe, czerwone czy fioletowe *krasnorosty* rozrzucone niby kwiaty wśród ciemnych gajów. Lecz w miarę oddalania się od wybrzeży, gdy morze staje się głębszem brunatne wodorosty znikają, a natomiast rozpoczyna się wyłączne panowanie glonów szkarłatnych czyli krasnorostów; potrzebują one najmniej światła i dlatego mogą rosnąć w głębokich warstwach wody morskiej, tam gdzie znikła wszelka roślinność.



Fig. 10. Krasnorost.

Ciała ich tworzą *plechy* tak rozmaitych kształtów, że podobnego bogactwa postaci fantazyja ludzka nie mogłaby wytworzyć. Blaszki tych plech są nieraz symetrycznie podziurawione jak najkosztowniejsze koronki (patrz fig. 9 N. 25 i fig. 10) Są to rośliny tak piękne pod względem barwy oraz kształtów liści, iż śmiało nazwać je możemy kwiatami morza.

Rozmiary ich jednak są po większej części niewielkie. Średnie mają parę decymetrów wysokości, a półmetrowe należą już do wyjątkowo wielkich. Jaskrawa barwa krasnorostów zależy podobnie jak u brunatnic, od tego, że ciała zieleni tych glonów zawierają drugi barwnik pięknie różowo czerwony. Niektóre krasnorosty wyglądają kredowo białe, są to tak zwane wodorosty wapienne, najciekawsze może ze wszystkich.

Wydzielają one ze swego ciała wapno, które twardnieje i tworzy dokoła gałązek pochwę, w takim razie rośliny są kruche, podobne nieraz do gąbek lub koralu od których na razie odróżnić je trudno, tembardziej, że rosną razem. Na przykład znany bardzo wodorost *Corallina officinalis* L. otoczona jest pochwą zwapniłą, zlekka zaróżowioną, co nadaje tej roślinie podobieństwo do drzewka koralowego.

W rodzaju *Nullipora* ścianki są tak skamieniałe od wapna, iż powierzchnownie nie zdradza, że wewnątrz ukryta jest roślina. *Nullipora* okrywa twarzą skorupą podmorskie skały, muszle oraz krzaki koralów, podobnie jak w naszych lasach porosty okrywają pnie i konary drzew leśnych.

Wapienne wodorosty są niezmiernie liczne w morzach, a skorupki ich połamane opadają bądź na dno, bądź woda je wyrzuca i tworzy nasypy na wybrzeżu. Tym sposobem drobne te roślinki przyczyniają się do budowy nowych łądów tak jak okrzemki, muszle i koral. W niektórych miejscowościach glony wapienne rosną nader obficie; np. w zatoce Neapolitańskiej *Nullipora* wytworzyła istne lawice, a w morzach otaczających półwysep Florydę, *Corallina* rośnie tak obficie, iż nieruchome jej skorupki wytworzyły grube warstwy osadów wapiennych.

Niektóre krasnorosty zawierają wiele cukru, są przeto pożywne i jadalne bądź ugotowane, bądź w surowym stanie jako sałata. Paru gatunków dla galarety, którą wydają, używa się pod nazwą mchu irlandzkiego na lekarstwo. Na wybrzeżach chińskich rosnąca *Gleopeltis tenax* Ag. daje Chińczykom klej, politurę i substancję, z której robią szyby do okien i lantarni.

A teraz kilka słów o rozmnażaniu się glonów. Najprostsze z pomiędzy nich mają niezmiernie łatwy sposób rozmnażania się: cała roślina rozpada się na dwie lub więcej części, z których każda wyrośnie i stanie się znowu całkowitą rośliną, np. z jednej rośliny może powstać naraz 8 lub więcej młodych roślin; wkrótce każda z nich znowu rozpadnie się na 8 części i powstanie 64 roślin, następnie 512 i t. d. W przeciągu więc jednego roku mogą powstać z jednego osobnika — miliardy nowych roślin. Jakżeby cieszyli nasi gospodarze wiejscy, gdyby tak szybko mogły się mnożyć konie woły, owce, a chociażby drób!

Ale najciekawszem jest to, że u wielu gatunków glonów owe cząsteczki rośliny stają się ruchliwe przez czas jakiś, swobodnie pływają w wodzie i rozbiegają się na wszystkie strony. Takie młode ruchome roślinki nazwano *plywkami*. Mają one na końcu ciała jedną lub kilka nitczek, któremi poruszają i sterują w wodzie jak wiosłami; są przeto podobne do zwierzątek wymoczków, od których często odróżnić je trudno. Po półgodzinnem lub dłuższem pływaniu, pływki stają się nieruchome, przyczepiają się do podłoża i powoli przekształcają się w dorosłą roślinę.

Wreszcie glony rozmnażają się jeszcze za pomocą *siemion*, które wyrzucają z siebie, są to również drobnouchne ciała, lecz nieruchome i okryte twardą błoną i dlatego są one wytrwalsze na zimno i burze od delikatnych i nagich pylek.

Opisując rośliny morskie wspomnieć jeszcze musimy o *bakteriach* i *mikrobach*. Słyszymy o nich niemal codziennie, wiemy, że żyją w powietrzu, w ziemi, w naszych mieszkaniach i w wodach słodkich. Otóż nie brak bakteryj i w morzach. Są to najpospolitsze rośliny na świecie, mnożące się niezmiernie szybko. Bakterye są tak drobnouchne, iż nie tylko nie dostrzegamy ich nigdy gołym okiem ani też przez lupę, ale i mikroskop nie każdy odkryć nam może ich obecność. Są to istotki o budowie jeszcze prostszej niż okrzemki; wyglądają pod mikroskopem jako kuleczki, przecinki i pałeczki. Przyrodnicy przez długi czas wahali się czy zaliczyć bakterye do zwierząt, ponieważ niektóre są ruchliwe, czy też do roślin. Niełatwa bo to sprawa rozstrzygnąć, do której z tych dwóch grup zaliczyć je należy, ponieważ mają podobieństwo do obu. Wreszcie niedawno zdecydowano się zaliczyć je do roślin ze względu, że mają wiele podobieństwa do najniższych grzybków.

(d. c. n.)

## Ks. Michał Nowodworski

BISKUP PŁOCKI.

Zmarły w przeszłym miesiącu w Warszawie ksiądz biskup Nowodworski należał do wybitnych postaci naszego duchowieństwa, odznaczając się zarówno kapłańskimi cnoty, jak rozległą wiedzą i niepospolitym talentem pisarskim. Syn zasłużonego profesora, urodzony we Włocławku 1831 r., ukończywszy z odznaczeniem nauki, uczuł powołanie do duchownego stanu, odbywszy więc odpowiednie studia, otrzymał kapłańskie święcenia. Przebywał następnie początkowo na wiejskiej parafii, skoro wszakże oceniono jego zdolności i zamiłowanie nauki, powołany został na bibliotekarza a później profesora akademii duchownej w Warszawie. W kilka lat potem gdy już nie miał zajęć obowiązkowych, oddał się z zapałem pracy piśmienniczej, wydając już to rzeczy oryginalne, już przyswajając literaturę naszej obce wartościowe dzieła. Założył wtedy czasopismo „Przegląd katolicki” i rozpoczął wydawnictwo Encyklopedyi kościelnej, która pozostanie na zawsze trwałym pomnikiem jego literackich zasług. Odrywał się niechętnie od ulubionej sobie pracy, gdy powołany został na stolicę biskupią, gdzie był wzorem ewangelicznego „dobrego pasterza”.

Śmierć jego obudziła też żal powszechny, o czem świadczyły niezwykle liczne pogrzebowe obrzędy, odbyte najpierw w Warszawie, a następnie w katedrze płockiej, gdzie spoczął wśród znakomitych niegdyś poprzedników swoich.

## NIEZNAJOMA Z PODDASZA

powieść przez

Bronisławę Żozawską.

(Dalszy ciąg).

— Zdaje mi się, że to sen jakiś z którego lękam się przebudzić — rzekła pani Kuleszowa; przesuwając ręką po czole — tak trudno mi wierzyć, aby dla mnie mogły nastać dni jaśniejsze, dni wytchnienia i odpoczynku, po tylu przejściach, po tylu stratach bolesnych.

— Oby ta przeszłość została snem tylko dla ciebie kochana siostró — rzekła pani Brzeska — dołożymy wszelkich starań, abyś mogła zapomnieć minionych chwil smutku i cierpienia.

Uśmiech pełen boleści zarysował się około ust pani Kuleszowej.

Zapomnieć, czyż ona mogła kiedy zapomnieć dwojga swych dziatka, których miłość była jej szczęściem, jej skarbem i radością? Myśli swej nie wypowiedziała głośno, odgadło ją jednak serce matki.

— Dobranoc, dobranoc — rzekła pani Brzeska, chcąc zmienić kierunek myśli odnalezionej siostry — jutro dopowiemy sobie resztę. O! jakże mi lekko na sercu jak jestem szczęśliwą, a moja dobra mateczka jakże się ucieszy odebrawszy list mój.

Kilka dni upłynęło od chwili, gdy państwo Brzescy odnaleźli tak dziwnem zrządzeniem siostrę, o której często myślano i mówiono w rodzinie, gdy nadszedł list od matki pani Brzeskiej.

Z każdego niemal słowa znać było radość czystego serca, ubolewała tylko, że z powodu zbyt słabego zdrowia przyjechać obecnie nie może, ale zaklinała i prosiła na wszystko, aby ukochana, odnaleziona córka przybyła do niej niezwłocznie.

Pragnęła ją widzieć, uściskać, usłyszeć z jej ust słowa przebaczenia, że nie była może dla niej matką, w całym znaczeniu tego słowa.

Pani Kuleszowa listem tym do łez rozrzewnioną była.

— Ach! — rzekła z głębokim wzruszeniem — nie ona to, lecz ja powinnam ją prosić o przebaczenie win moich. Ja byłam tylko winną, ja, nikt więcej. Mój to upór, moja duma i dzika zaciętość truły życie tej zacnej kobiety, która, nie wiem za co kocha mnie dziś jeszcze. O! jakże chciałabym z duszy ucałować jej ręce i wypowiedzieć to, że ją kochałam, kochałam szczerze.

— Wie ona już o tem — rzekła pani Brzeska — wiedziałam jaką mej mateczce radość sprawię tem: że była kochaną, czego tak zawsze pragnęła. Doniosłam jej, o wyznaniu twem siostró.

Pan Brzeski który był obecnym przy czytaniu listu i całej rozmowie, rzekł, patrząc na dzieci:

— Jeżeli pewne osoby otrzymają w tym roku nagrody, pojedziemy na całe wakacje do babci.

Wańdzia klasnęła w ręce.

— Och! ojczusiu — zawołała radośnie — wczoraj przełożona pocałowała mię w głowę i powiedziała, że jest ze mnie bardzo zadowolona i że mogę być pewną nagrody.

— A nie mówiłaś mi o tem — rzekł Władek.

Wańdzia zarumieniła się lekko i rzekła jakby zawstydzona:

— Nie było potrzeby, ale ta obietnica ojczusia, wyrwała mi z ust te słowa.

— To dobrze — rzekł pan Brzeski — powinniśmy zawsze o sobie jak najmniej mówić, chełpić się z otrzymanej pochwały, jest to zmniejszyć jej zasługę. No, a ty chłopcze? — dodał, patrząc na Władka.

— Ja ojczu — odrzekł, trąc czuprynę — nie wiem nic o nagrodzie, ale, w razie wypadku, czy list pochwalny wystarczy?

— Naturalnie — rzekła pani Kuleszowa, uprzedzając odpowiedź pana Brzeskiego — naturalnie, że wystarczy moje dziecko, wszak prawda bracie?

— Musi wystarczyć, skoro ciotka tak zawyrokowała — odpowiedział z uśmiechem, ciesząc się wybuchami radości dzieci.

Wańdzia na chwilę posmutniała i rzekła z westchnieniem:

— Ach! jaka szkoda, że Bieduś jechać z nami nie może.

— Zostanie pod dobrą opieką — rzekła pani Brzeska niemniej ucieszona nadzieją, uściskania matki i siostry, u której matka mieszkała — wiesz jak Antosia Biedusia lubi, nie zrobi mu krzywdy z pewnością, a osamotnionego jeszcze więcej pieścić będzie.

— O! to, to prawda, niema chyba lepszej dziewczyny, jak nasza Antosia — zawołała Wańdzia pocieszona — ja bardzo kocham Antosię.

— Należy jej się to, — rzekł ojciec — ona kocha nas także szczerze.

Teraz myśli wszystkich odnosiły się do wycieczki wakacyjnej, a przy pracy ciężkiej i zamianie listów, czas płynął szybko.

Gdy Wańdzia pierwszy raz przyszła na pensję po owym dniu, w którym się dowiedziała, że nieznamoma z poddasza była jej ciotką, miała twarz tak rozpromienioną radością, że Ada podbiegła do niej i zapytała ciekawie:

— Co się stało, najmilsza? spotkało cię jakieś szczęście, to rzecz widoczna.

— O! i wielkie — odpowiedziała zapytana — dziś mogę ci to powiedzieć, odnaleźliśmy ciotkę, którą dawno mieliśmy za umarłą prawie.

— Tak? — zapytała Ada, odprowadzając na bok koleżankę, gdyż lekcye jeszcze się nie rozpoczęły — znalazłaś ciotkę, gdzie i kiedy?

Wańdzia zakłopotana się trochę, nie była przygotowaną na te pytania,

— Widzisz, to długa historia — rzekła wymijająco — ciocia nie wiedziała gdzie nas szukać, my nie wiedzieliśmy gdzie ciocia, dopiero dziwny zbieg okoliczności dał nam się poznać wzajemnie.

— A to rzeczywiście szczęście — rzekła Ada zamyślając się nieco — my także poszukujemy jednej osoby, niby

— O! i nasza poszukiwana była bardzo nieszczęśliwa — zawołała Ada — moja mateńka bardzo ją kochała, nawet na jej pamiątkę dano mi imię Adamina.

Wańdzia drgnęła, ale w tej chwili zadzwoniono i nie było czasu na dalszą rozmowę, szepnęła więc tylko:

— Ado, jakie nazwisko tej, której szukacie?



Ks. Michał Nowodworski, biskup płocki.

nie ciocia, no, ale zawsze szukamy kogoś, a znaleźć nie możemy. I mama i tatuś bardzo pragną znaleźć tę osobę, no, ale nie mogą. To niby owa moja tajemnica, ale mama, pozwoliła mi mówić o tem z tobą.

— Ach! — rzekła Wańdzia — to musi być bardzo smutno szukać kogoś daremnie, jak ja dziękuję Bogu, że nam pozwolił znaleźć naszą ciotkę. Zebyś ty wiedziała jaka ona dobra, a jak była nieszczęśliwa.

Adamina Kuleszowa — odrzekła Ada do ucha przyjaciółki.

Wańdzia nie mogła powstrzymać głośnego okrzyku:

— To ona! to moja ciotka!

Wszedł profesor, lekcye się rozpoczęły, a całe szczęście dla dwóch przyjaciółek, że dnia tego nie były zapytywane.

Myśli ich były wzburzone, ciekawość wywiedzenia się

szczegółów tak podniecona, że o niczem innem myśleć nie mogły, jak tylko o pani Adamie Kuleszowej.

Spoglądały po sobie znacząco, ale wzrokiem opowiedzieć sobie trudno to o cobyśmy pytać chcieli, a obie panienki końca lekcji doczekać się nie mogły.

Paauza dała im chwilę rozmowy, nie pomyślały o jedzeniu.

— Gdzie twoja mama znała moją ciotkę? — zapytała pierwsza Wańdzia.

— To także długa historia — odrzekła Ada — widzisz, moja mama mieszkała razem z panią Kuleszową w Warszawie, a mój ojciec, był bratem męża pani Kuleszowej.

— Co? — zawołała Wańdzia zdziwiona — przecież ty nie nazywasz się Kulesza?

dzie — a ojczuś! ach! doprawdy, chciałabym jednej chwili być w domu.

— Co też to powie moja ciocia — rzekła Wańdzia — ona tak serdecznie wspominała twoją mamę. Prawda, mówiła i o twoim ojcu, w pierwszej chwili zapomniałam o tem.

— Mój ojczuś bardzo jest dobry, a niema słów pochwały, gdy mówi o starszym swym bracie — rzekła Ada z uczuciem miłości dziecięcej — o, moi rodzice oboje bardzo są dobrzy.

— Naturalnie — odrzekła Wańdzia — niema złych rodziców dla dzieci.

Paauza się skończyła, trzeba było znów zabrać się do lekcji, teraz panienki przyszły już nieco do siebie po



Ej Franciszku, nie żałuj wojny, patrz co ona ofiar pochłonęła... (str. 223).

— Tak, bo widzisz, mój ojciec był młodszym bratem męża pani Kuleszowej, a choć mieli jedną matkę, ale nie jednego ojca.

— Aha — rzekła Wańdzia w zamyśleniu, nie mogąc sobie jeszcze jasno zdać sprawy z całego zdarzenia — więc twoja mama, jest bratową mojej ciotki?

— Tak — mówiła Ada radośnie, dusząc w nściskach Wańdzię — jesteśmy nietylko przyjaciółkami, ale teraz nawet kuzynkami. O! jaka ja szczęśliwa!

Wprawdzie pokrewieństwa trudno się było doszukać w tym stosunku, ale tego, niktby nie potrafił wytłómaczyć panienkom, a szczególnie Adzie, która przy żywym swym temperamentie była uszczęśliwioną z tego wzmocnienia stosunku przyjaźni.

— Moja kochana mateńka ucieszy się bardzo, gdy jej przyniosę tę nowinę — mówiła Ada, co chwila całując Wań-

pierwszem wzruszeniu i nie obawiały się, gdyby im mówić przyszło.

Ada wbiegła do domu, jak burza.

— Mamo! — wołała nie zamknawszy drzwi za sobą — mamo! znalazłam panią Kuleszową.

— Co ty mówisz? — zapytała matka zdziwiona — czyś zmysły straciła?

— Nie, nie, mamusiu — wołała, rzucając się matce na szyję, bo już to rzadko kiedy spokojnie mówić umiała — prawda, najprawdziwsza prawda, mateńko.

We drzwiach z drugiego pokoju ukazał się ojciec Ady.

— Co ty mówisz, dziecko? — zapytał niepewny co sądzić o słowach córki — gdzie? kogo znalazłaś? mówże wyraźnie.

Ada, o ile umiała utrzymać myśl w pewnym porządku,

opowiedziała rzecz całą, nie pomijając różnych szczegółów dawniejszej swej rozmowy z Wańdzą.

Słuchano jej w największem wzruszeniu i niepokoju,

— Czy to aby ona? — rzekła pani Borunt, matka Ady.

— Ona mateńko, ona, Wańdzia mówiła, że to długa i dziwna historia, mówiła także, że jej ciotka była bardzo nieszczęśliwą, że nawet wspominała o mamie bardzo serdecznie i o tatusiu także.

Dziewczynka jednym tchem prawie wypowiedziała te słowa.

— Pójdę — rzekł pan Borunt z pośpiechem, biorąc kapelusz — pójdę, muszę się dowiedzieć czy to ona była dla mnie tak dobrą, choć się nigdy do tego przyznać nie chciała.

— Idź — mówiła pani Borunt — idź mój drogi, a jeżeli to ona rzeczywiście, będą najszczęśliwszą gdy ją powitam w innych, pomyślniejszych warunkach życia. Ona nie wiedziała ani mego, ani twego nazwiska, nigdy o nic nie pytała, nie ją nie obchodziło na świecie całym, ale ja wiedziałem o jej nazwisku, musiałem przecie wiedzieć, ponieważ zajmowałam się wszystkim.

— Nigdy sobie tego darować nie mogłem, żem zaraz do niej poszedł, ale... ale było tyle przeszkód.

Pan Borunt westchnął i wyszedł z pokoju.

Tymczasem Wańdzia niemniej zajęta od Ady, tylko spokojniejsza, opowiedziała w domu wszystko, o czem się dowiedziała od przyjaciółki.

I tu niemniejsze było zdziwienie, a pani Kuleszowa, powołana do innych warunków życia, uniała się już i uśmiechać i cieszyć.

— Boskie zrządzenie — mówiła ze wzruszeniem — kto-by mógł wiedzieć, że się zejdziemy kiedy, i że nas łączył tak bliski stosunek. Nie znałam jej przedtem, nie mogłam więc wiedzieć kto ona, a pytać, alboż mnie wtedy obchodziło cokolwiek? Dobrą była dla mnie, bardzo dobrą, ale milczała także, milczała jak i ja, dla tego też może tak nam było dobrze z sobą.

(d. c. n.)

## SŁOWIKI MOJEJ SIOSTRZYCKI.

W głębi sadu, drewniany i biały  
Stał nasz dworek, w zieleni i chłodzie.  
Tu — co wiosny bociany wracały  
I słowiki gnieździły w ogrodzie.

Raz pamiętam był wieczór majowy,  
Bardzo cichy i wonny kwiatami...  
Jeden słowik wiódł ciche rozmowy  
Nie wiem przecież: z księżycem — czy z nami?

Obok dworku, na ławce z kamienia  
Siadłam z siostrą. A piosnka płynęła....  
Późno było, gdy mego ramienia  
Bardzo lekko dotknąwszy, szepnęła:

„Chodź na chwilę siostrzycko, gdzie wiele,  
Wiele więcej słowików już śpiewa,  
A w ich piosnkaoh rozbrzmiewa wesele”!  
I szła pierwsza przez zieleni i drzewa.

W czeladnej izbie był już mrok,  
Mrok już zupełny — siny.  
A w środku izby, tuż o krok  
Kłęczały trzy dziecińcy.

W jasnych oczach błyszczą łązy  
A dłonie poskładane.  
I „Wszystkie nasze” w izbie drży  
Cichutko tu śpiewane.

W milczeniu wzięłam w ręce me  
Dłoń drogiej mej siostrzyckki.  
A ona rzekła: Dziaćki te  
To moje są słowiczki!

I. P.

## Lew świętego Marka

(z ANGIELSKIEGO E. A. Henty)

przekład K. P.

(Dokończenie).

Pisani przekładał i tłumaczył, że od tych murów zależy ocalenie Wenecyi, a gdy i to nie pomogło, miał długą naradę z dożą, który potem wyszedł na przód swej galery i wobec zgrupowanych żołnierzy przysiągł na miecz, że nie wróci do Wenecyi, aż odzyska Chioggię. Wojsko, widząc starego dożę z tak silną wiarą mówiącego o zwycięstwie, nabrało ducha i znowu energia wróciła do układania tamy i w nocy drugiego dnia, zamurowano kanał Chioggi od brzegu do brzegu.

Doria, gdy zrozumiał zamiary Wenecyan, wysłał czternaście galer aby odpędzić Cornara, lecz Pisani posłał miedzię okrętów, a Genuieńczycy obawiali się atakować go w wąskim przejściu i Cornaro zablokował kanał Brondolo. Nazajutrz uczyniono to samo z kanałem Lombardzkim i w cztery dni po opuszczeniu Wenecyi, Pisani odciał flotę genuieńską od morza.

Wenecyanie przecież ponieśli także wielkie straty, żołnierze przemoknięty, źle żywiony upadał na siłach i nie tylko złego zrobili w wojsku strzały Genuieńczyków, ile gorączki i zaraźliwe choroby. Naprzeciwko klasztoru w Brondolo, który doża zamienił na cyałdłę, wznoszono fort, w którym Pisani umieścił najcięższe działa. Jedno z nich wyrzucało kamienie ważące sto dziewięćdziesiąt pięć funtów, lecz przy ówczesnym stanie artylerji, można było z nich strzelać raz w dwadzieścia cztery godzin.

Nietylko żołnierze lecz oficerowie i marynarze wyczerpani błagali, aby wracać do Wenecyi. Pisani widział opłakany stan armii, małą miał nadzieję zwycięstwa, dodawał jednak wszystkim otuchy i wymógł, że obiecano czekać cierpliwie do Nowego Roku i wtedy odstąpić od oblężenia, jeżeli pierwszego stycznia Zeno z flotą nie wróci.

Losy Wenecyi ważyły się w tej chwili, wszystko zależało od powrotu Zena. Trzydziesty grudnia minął spokojnie, bo Genuieńczycy, dowiedziawszy się od jeńców w jak opłakanym położeniu znajduje się armia doży, nie chcieli psuć prochu, powni, że za parę dni sama im się podda. Trzydziestego pierwszego o brzasku, żołnierze powchodzili na maszty i wypatrywali długo oczekiwaną flotę. Ale morze było puste, więc z rozpaczą w sercu spoglądali na poczerniałe i wychudłe twarze towarzyszy — a tu z nikąd pomocy, z nikąd ratunku! Nawet najodważniejsi stracili nadzieję. Nie mówiono już o Zenu — przez tyle miesięcy nie wracał, dlaczegożby miał teraz wrócić? Mówili za to o domu, o rodzinach, i że jeżeli mają umierać, to wolą umrzeć z ukochanymi. I tak nadszedł wieczór. Położyli się, gryząc suchy chleb, wielu się cieszyło, że to już ostatni dzień i że nastąpi jakaś zmiana; chyba nie lepsze, bo gorzej już być nie mogło.

Jeszcze było ciemno, kiedy nazajutrz na szczycie każdego masztu siedział człowiek i wzrokiem chciał prześledzić

mrok panujący nad ziemią. Ledwie zaczęło świtać, od okrętu do okrętu przeleciał okrzyk.

— Jakaś flota na morzu!

Krzyk ten usłyszano z brzegu, Pisani wskoczył do łodzi, za nim Franciszek przyplął do okrętu i wdrapał się na maszt.

— Widzę statki! Jeden, dwa, trzy, naliczył piętnaście. Boże! gdyby to był Zeno!

Każdy sobie zadawał to pytanie, gdyż i Genuńczycy oczekiwali posiłków.

— Wiatr jest tak słaby — rzekł Pisani, że ich prawie nie porusza. Wyślij lekką łódź na zwiady i raz dowiemy się, czego się mamy spodziewać. Jeżeli Zeno nadpływa, to Wenecya ocalona, jeżeli to Genuńczycy, to wypłyniemy przeciwko nim i zginiemy przynajmniej z bronią w ręku.

Kilka lekkich galer odplynęło na spotkanie floty, która była jeszcze tak daleko, że o poznaniu narodowości mowy nie było. Wtedy Pisani przemówił do swoich żołnierzy, uspokajając ich i dodając otuchy.

— Jeżeli cofniemy się w porządku — mówił — to nie ośmielią się nas atakować i wrócimy spokojnie do Wenecyi.

Wysyłając galery na zwiady, rozkazał Pisani wywiesić białe flagi, jeżeli to są okręty Zena. Po godzinie oczekiwania zawołano z masztów, że galery wracają.

— Idź Franciszku — rzekł Pisani — ja muszę zostać przy wojsku. Ty masz dobre oczy. Jeżeli ujrzysz białą chorągiew, rozpozrzyj Lwa św. Marka, w przeciwnym razie pokaż mi błękitną flagę.

## XX.

### Tryumf Wenecyi.

Franciszek odplynął, Giuseppa posłał na szczyt masztu, a sam stanął na pokładzie trzymając w rękach sznury dwóch flag.

— Co widzisz? — zapytał.

— Kilka plam tylko, jeszcze są zadaleko — lecz z drugiego okrętu ktoś zawołał: Jestem prawie pewny, widzę białą chorągiew.

Radość odmalowała się na twarzach żołnierzy, bo Jacopo słyszał z bystrego wzroku.

— Nie dawajcie żadnego znaku — zawołał Franciszek aż będziemy zupełnie pewni. Pomyślcie, jakieby to było okropne rozczerwanie!

Jeszcze dziesięć minut śmiertelnego oczekiwania. Jacopo zsunął się z masztu.

— Niech Bogu będą dzięki — krzyknął, jestem pewny że białe chorągwie powiewają na tych łodziach.

— Dzięki Najwyższemu! — zawołał Franciszek — dalej! rozwiniemy Lwa!

Podniesiono sztandar do góry i Lew św. Marka ukazał się w całej wspaniałości. Pisani, który stał na wzgórzu dojrzał go pierwszy i zawołał na cały głos:

— Zeno wraca!

Zewsząd ozwały się okrzyki radości. Żołnierze padali na kolana, lub stali ze złożonymi rękami, z oczami utkwionymi w niebo, a łzy jak groch spadały im na piersi. Niektórzy szaleli z radości i skakali jak dzieci, ściskając się wzajemnie; Zeno tymczasem nie wiedział o strasznym położeniu, w jakim znajdowali się jego współbracia, płynął najspokojniej, lecz spotkawszy galery, skierował się do kanału Brondolo i wkrótce zarzucił tam kotwicę. Kazał spuścić łódź i udał się na brzeg, gdzie go Wenecyanie otoczyli.

Z trudnością przecisnął się przez tłum do miejsca, gdzie czekał na niego doża. Zeno był wzrostu średniego krępy i silny. W obliczu miał dużo powagi i spokoju i tem się różnił od żywego i wiecznie ruchliwego admirała Pisani.

Zeno za lat młodych miał wstąpić do stanu duchownego, papież przeznaczył mu bogatą prebendę w Patras. Ale jadąc na studia do Padwy został napadnięty przez rozbójników, którzy go zostawili tam prawie nieżywego. Przyszedszy do zdrowia udał się na uniwersytet, gdzie się odznaczał

niezwykłymi zdolnościami, lecz także charakterem niespokojnym. Z powodu jakiegoś zajścia musiał uciekać, nareszcie dostał się do Patras podczas oblężenia tego miasta przez Turków i tam odznaczył się niezwykłą odwagą. Był ciężko ranny i miano go już nawet za umarłego. Ztamąd udał się do Niemiec, Francyi, Anglii, później wrócił do Wenecyi i stał się sławnym jako wojownik.

Naznaczono go dowódcą w okręgu na który często napadali mieszkańcy Padwy, których niejednokrotnie pokonał; w powierzony mu dzielnicy zaprowadził ład wzorowy i zyskał sobie przydomek niezwycięzonego.

Kiedy Pisani r. 1378 został mianowany generalnym dowódcą, Zeno otrzymał niezależną komendę i był mianowany gubernatorem Negropontu. Przez długi czas nie było o nim słyhu, a teraz stojąc przed admirałem potwierdził krążące wiadomości o nadzwyczajnych zwycięstwach odniesionych nad Genuńczykami. Schwycił przeszło siedmdziesiąt okrętów, krążył długi czas w bliskości Genui, przeszkadzał im w handlu nie dopuszczając posłów z nowinami do miasta i tem się tłumaczyło, że Doria otrzymał jeszcze posiłków. Między okrętami był jeden, który wiozł trzykroć sto tysięcy dukatów dla floty. Teraz z całą gotowością wziął udział w oblężeniu i obrawszy Brondolo, jako najniebezpieczniejszy punkt wysadził swoich ludzi na brzeg. Całą żywność znajdującą się na okrętach rozdzielił między ludność zgłodniałą i na razie pokrzepił ich siły.

Odebrawszy Paduanom Loreto, otworzył komunikację z Ferrarą, która natychmiast przysłała sprzymierzeńcom ogromne zapasy żywności i głód ustał. Oblężenie Brondolo trwało ciągle, a wielkie bombardowanie Victorii osłabiło mur otaczający fortecę genueńską tak, że się niespodzianie zawalił, przysgniatając sobą Dorię.

Teraz armia wenecka wcale inny przedstawiała widok. Żołnierz dobrze żywiony, mając nadzieję zwycięstwa, z ochotą szedł na nieprzyjaciela, zwłaszcza pod takimi wodzami jak Pisani i Zeno, który swoją odwagą i walecznością pociągał całą armię i cudem tylko unikał śmierci.

Jednej nocy w czasie silnego wiatru statek jego urwał się z kotwicy i prąd uniósł go na przeciwny brzeg pod fort genueński, skąd wysłano za nim grad strzałów. Jedna z nich trafiła go w szyję, on przecież nie zważając na ból, wydawał rozkazy, wysłał marynarza z linami, aby przywiązano je do słupów ze strony weneckiej i zgromił tych, którzy zwątpiwszy o ocaleniu, błagali go aby zerwał Lwa z wielkiego masztu. Marynarz dopłynął do brzegu, uczynił jak mu było nakazane i statek przyciągnięto na dawne miejsce. Zeno idąc spieszenie po pokładzie nie spostrzegł, że kłapa jest podniesiona i wpadł na dno statku. Niewąpliwie byłby tam umarł; znaleźli go przecież podwładni, sprowadzono lekarzy i dzięki niezwykłym siłom, nie tylko w parę dni wrócił do zdrowia, ale został mianowany generalnym dowódcą sił lądowych i 29 lutego wyparł Genueńczyków z fortów na wyspie Brondolo i z Picola Chioggia, a 30-go przysunął obóz pod mury Chioggii i rozpoczął morderecy ogień. W chwili, gdy Genueńczycy przechodzili most św. Katarzyny, ten się zawalił i wielu z nich potonęło.

Nieprzyjaciel cofał się w popłochu, zostawiając tyle broni, że w Wenecyi sprzedawano misiurkę za kilka groszy.

Wojsko zachęczone ciągłymi zwycięstwami chciało szturmować Chioggię, ale wodzowie nie chcieli krwi rozlewu, obliczając, że głód zmusi wroga do poddania się. Całą więc uwagę skupili na niedopuszczaniu transportów, które książę Padwy wciąż wysyłał do miasta. Oblężonym jednak pozwolono oddalić z twierdzy kobiety i dzieci i te przyjęto nawet gościnnie w Wenecyi. Pod koniec wojny, kiedy prawie pokonali już nieprzyjaciela, przybyła im pomoc z Medyolanu; poznoszono tamy zamykające kanały i flota wzięła udział w oblężeniu.

Dnia 14 maja radość zapanowała w Chioggii, taka sama, jaką przed kilku miesiącami odczuwali Wenecyanie, gdyż przybyła odsiecz wysłana z Genuy. Admirał spóźnił się z powodu przeciwnych wiatrów, ale schwycił po drodze pięć weneckich galer, które wyprowadził do Apulii po zboże.

Genueńczycy ustawili się w porządku bojowym i wzywali admirała, lecz on choć z natury prędki i choć pragnął zatrzeć pamięć przegranej pod Polą, nie wyszedł na ich spotkanie. Wiedział on dobrze, że Chioggia musi się poddać i nie chciał się narażać po tak długich trudach. Maruffo codziennie powtarzał wyzwanie obsypując Wenecyan takimi obelgami, że Pisani w końcu nie mógł utrzymać rwącego się wojska.

Poszedł do doży, otrzymał od niego pozwolenie na bitwę i wypłynął 25 maja, lecz na samym początku starcia taki strach opanował Genueńczyków, że umykali co siły. Pisani ścigał ich czas jakiś, a potem wrócił na dawne stanowisko. Rozpacz Genueńczyków, którzy z twierdzy widzieli ucieczkę swojej floty, da się porównać tylko z radością, z jaką ją witali. Zapasy słodkiej wody zupełnie się wyczerpały, żołnierze byli tak osłabieni, że w początkach czerwca nie było komu nabijać armat.

Genua robiła wszystko, co było w jej mocy aby ocalić obleżonych, starała się wojska najemne odciągnąć od Wenecyi, co byłoby się jej udało, lecz doża dowiedziawszy się o tem przyrzekł wypłacić im żołąd z góry za miesiąc i wydać Chioggię na rabunek. Usiłowano kilkakrotnie zgładzić Zena, ale i to chybiło.

Maruffo, otrzymawszy posiłki, znowu się ukazał, ale tym razem Pisani nie dał się skłonić do walki. Wkrótce też załoga Chioggii wysłała deputacyę, aby się ułożyć o warunki kapitulacyi, lecz gdy admirał odpowiedział, że mają się zdać na łaskę i niełaskę zwycięzców, posłowie cofnęły się. Jednakże już następnego dnia, zrzucano z murów chorągiew genueńską.

Nazajutrz doża, otoczony dygnitarzami, z Pisanim i Zenem odbył wjazd do Chioggii. Niezliczona ilość broni i drogocennych sprzętów wpadła w moc zwycięzkiego wojska; przez trzy dni najemnicy rabowali domy i namioty. Rzeczypospolita zachowała sobie dziewiętnaście galer, cztery tysiące jeńców, ogromne ładunki korzeni i soli, której wartość oznaczono na dziewięćdziesiąt tysięcy dukatów.

Nawet gdy flota wracała w tryumfie po zdobyciu Konstantynopola, Wenecya nie radowała się tak niezmiernie, jak teraz witając sędziwego dożę, po zwycięztwie nad Genuą, która długo nie mogła podnieść się po zadanej klęsce. Każdy obywatel czuł, że się przyczynił do tryumfu, bo każdy walczył i cierpiał. Cierpiał bez skargi i walczył mężnie. Wenecya tylko swojej energii zawdzięczała szczęśliwy koniec wojny.

Na każdym domu powiewały flagi, z każdego balkonu zwieszały się kobierce. Z wieży kościelnych rozległo się bicie dzwonów, gdy wielka gondola wioząca dożę i obydwóch wodzów ukazała się na kanale.

Jak tylko skończyło się dziękczynne nabożeństwo w kościele św. Marka, Franciszek wymknął się i pobiegł do pałacu Polanich. Julia z ojcem tylko co także z kanału wróciła.

— Domyślałem się że przyjdiesz — rzekł kupiec — i dlatego pospieszyliśmy się. Ja co prawda chętnie byłbym został jeszcze chwilę na placu, ale panna córka nie pozwoliła. Chciała koniecznie przywitać cię pierwsza.

— Mój Boże! przecież to bardzo przykro wracać do pustego domu, zwłaszcza jeżeli ktoś jak Franciszek narażony

był przez tyle miesięcy na trudy i niebezpieczeństwa. Znał po panu, żeś nie miał czasu myśleć o sobie.

— Tak ci się zdaje! ja widzę, że zmęźniał i jeszcze się więcej opalił. Trzeba go było widzieć przed powrotem Zena. Wyglądał jak zgłodniały wilk, suknie wisały na nim jak wory, oczy i policzki miał zapadłe, strach pomyśleć co to się działo! No! dzięki Bogu skończyliśmy z Genuą, morze otwarte, weźmiemy się znów do handlu.

— Tak, weźmiemy się znów do handlu — rzekł Franciszek — nastał spokój i miecz zardzewieje w pochwie, chyba że go wyostrzymy na maurytańskich karkach.

— Ej Franciszku, nie żałuj wojny, patrz co ona ofiar pociłogła. Niema prawie rodziny, któraby nie opłakiwała poległych. Ale tobie to całe ciężkie przejście wyszło na korzyść, z chłopca zostałeś mężczyzną i zyskałeś przyjaźń i dozoną wdzięczność Wenecyan.

Wieczorem, kiedy zostali sami, Polani z nienacka zapytał Franciszka, patrząc mu w oczy.

— No mój chłopcze; mnie się zdaje, że masz prośbę do mnie, mów śmiało.

Franciszek zaczerwienił się po uszy, lecz zbierając całą odwagę rzekł:

— Chciałbym zostać pańskim zięciem. Wiem, że nie mam prawa mówić tego, ale upoważnił mnie pan do szczerości. Jak pan myśli, czy panna Julia jest mi przychylną?

— Mój drogi chłopce, oddawna marzyłem o takim synu jak ty, a teraz marzenie moje stają się rzeczywistością. Co się tyczy Julii, to jest posłuszną córką i zgodzi się z wolą ojca, zresztą zdaje mi się, że jej to przykrości nie sprawi.

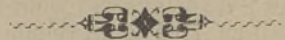
We dwa miesiące później odbyło się wesele Franciszka Hammonda z Julią Polani z niezwykle uroczystością, bo kupiec chcąc ten dzień uświetnić, wydał ucztę dla wszystkich ubogich miasta.

Młodzi małżonkowie żyli długo i szczęśliwie; z początku stale mieszkali w Wenecyi lecz często odwiedzali rodzinę Franciszka osiadłą w Londynie.

W kilka miesięcy po ich ślubie, umarł admirał Pisani; nie mógł on przyjść do siebie po tylu trudach i cierpieniach. Przed śmiercią jednak wypędził Genueńczyków ze zdobytych miast, pod Zará przyszło do bitwy w której Cornaro został zabity, a Pisaniego raniła strzała. Smutek po stracie wiernej przyjaciela, rany i niewczasy wszystko to spowodowało rozwinięcie się groźnej choroby, z której w ciągu trzech dni życie zakończył.

Wenecya zawarła pokój z Genuą, lecz niechęć jej do Padwy nie ustała, dopóki w roku 1405 nie zdobyła tego miasta. Zeno posądzony o znowy z nieprzyjacielem dostał się pod sąd wojenny, który go skazał na rok więzienia — tak więc podzielił los Pisaniego.

Po śmierci signora Polani, Franciszek osiadł z rodziną w Londynie i ztamtąd rozległy prowadził handel, co parę lat odwiedzał z żoną jej rodzinne miasto i zawsze losy tej Królowej mórz żywo go zajmowały.



#### PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

**TREŚĆ:** Stuletnia rocznica (z drzew.) — Życie w oceanie przez dr. M. Stefanowską. — Ks. Michał Nowodworski (z portretem). — Nieznajoma z poddasza, powieść przez Bronisławę Porawską. — Słowiki mojej siostrzyczki, wiersz przez I. P. — Lew świętego Marka (przekład K. P. z angielskiego G. A. Henty) (z drzew.) — Dodatek: Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. (z drzew.) — Nadąsana, wiersz przez Helenę Bojarską. — Na letuiem mieszkaniu przez H. G.—. — Łamigłówni, rozwiązanie. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Orla skała, powieść miss K. Yonge przekład T. O.

Redaktorka **Ludwika Hauke**. Дозволено Цензурою. Варшава 22 Июня 1896 г. Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska**.



# WIECZORY RODZINNE

## Mali Robinsonowie w skalach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg.)

— Jeżeli nic nie mówiła, to znaczy, że nie życzy sobie, abyśmy wiedzie li, gdzie jutro będą— odrzekł jej, mąż

— Oni idą do swojej ciotki Genowefy do Paryża — odezwał się Piotruś. — Mówił mi o tem Iwonek, bom go się pytał.

— Do Paryża? Ależ bez pieniędzy i piechotą nie dojdą tam nigdy — zawołała poczciwa Joanna.

— Czyż nie rozumiesz, że musieli z nas zażartować.. no, ale nie mówmy już o tem więcej, mam dosyć całej tej historyi i zabrał się wachmistrz do kawy, która mu dzisiaj nie bardzo jakoś smakowała. A mali nasi podróżni znaleźli się znown na nieznanej drodze. Melcia nie mogła odzyskać wesołości z pierwszych dni podróży... nie dowierzała samej sobie, a odpowiedzialność, którą na barki swoje przyjęła, ciążyła jej bardzo... czuła się winną, że naraziła braciszka na trudy takiej podróży. Na chleb nie zapracują, a bez pieniędzy musi się skończyć na tem, że będą zmuszeni żebrac, lub umrą z głodu.

Ona może jeszcze mogłaby zarobić parę groszy, ale Iwonek był taki mały, trochę czytać umiał zaledwie, a podróż w tak uciążliwych warunkach, osłabiła go bardzo.

— Może kiedyś będziesz miał żal do mnie, mój kochanku — rzekła, patrząc z czułością na brata.

— Mieć żal do ciebie! o Melciu, czy za to, że zawsze i wszędzie myślisz najpierw o mnie... Ale powiedz siostrzyczko, czyśmy też dobrze zrobili, opuszczając naszą skalę?

— Właśnie to samo pytanie stawiałam sobie przed chwilą.

— Oj, wolałam daleko siedzieć spokojnie u siebie, aniżeli tak ciągle włóczyć nogami po tych piaszczystych drogach... Z ciebie dobra była kucharka... i ryby przyjemnie było łowić. A zresztą widzisz, ja nie będę już mógł długo iść z tobą... jestem zanadto zmęczony, czuję, że położę się na jakim stosie kamieni i nie wstanę więcej.

Jakie to dziwne było, że w tej chwili oboje myśleli o tem samem! Melcia wyciągnęła rękę, Iwonek ją pochwycił i przybliżyli się jedno do drugiego.

— Tylko nas dwoje na świecie, mój braciszku... ale nie bój się... póki ja jestem przy tobie, nic cię złego nie spotka.

Uszli już duży kawał drogi, musiało być południe bo słońce było wysoko, gdy Iwonek oświadczył, że dalej nie pójdzie.

— Usiądźmy Melciu, zjem jeden kawałek chleba z masłem, a ty drugi.

— Nie, drugi schowam dla ciebie na później, a sama zjem chleb suchy, który mi dała poczciwa pani Joanna.

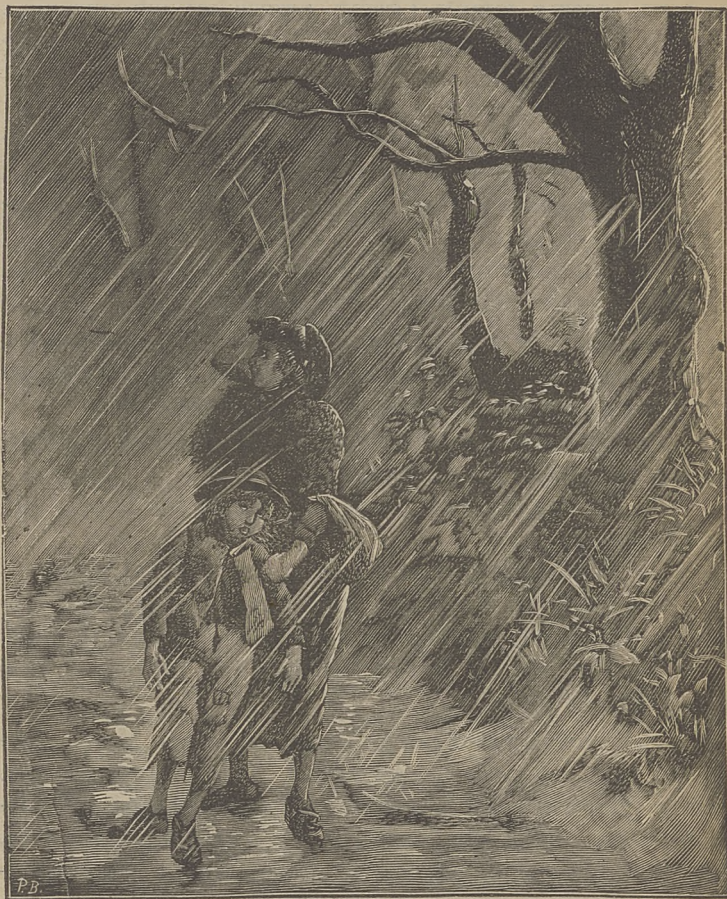
— Ja tak nie chcę... musisz się podzielić ze mną...

Tak rozmawiając usiedli pod dużym drzewem, które rośło przy drodze, dobrze im tam było, gdy nagle zerwała się okropna wichura, gęste chmury poczęły ciągnąć od zachodu, ściemniło się i błyskawice coraz częściej ognistemi zygzakami znaczyły swe przejście.

— Oto burza — rzekła Melcia — trzeba iść dalej.

— Ale gdzie?..

— Nie wiem! ale zawsze naprzód, napotkamy może jaki dom lub oberżę, tylko czy nas przyjmą, nie mamy ani grosza...



— Ja mam — przerwał Iwonek, uśmiechając się mimo zmęczenia.

— Zkąd wzięłeś te pieniądze? — zawołała Melcia surowo, zrywając się z siedzenia, przerażona i blada...

-- Hola! siostrzyczko, jestem uczciwym chłopcem, nie wziętem nikomu pieniędzy, ale je dostałem.

— Od kogo?

— Od Piotrusia, mego nowego przyjaciela, na rozstanie wcisnął mi w rękę pół franka, mówiąc: „to są moje oszczędności. proszę cię, weź je, bo tobie potrzebniejsze one niż mnie”. I prawdę mówił, bo mając taką matkę Piotruś jest godzien zazdrości...

— Mnie w każdym razie przykro, żeś przyjął te pieniądze, wachmistrz powie żonie, że się na nas nie zawiódł i że w istocie jesteśmy tylko żebrakami...

— Może być, ale pół franka może nas uchronić jutro od śmierci głodowej... chleb wystarczy nam tylko na wieczór. A niestety jeść trzeba codzień...

— Ach! jak ciężko żebrać!

— Żebrać, poco koniecznie żebrać, dadzą mi i bez tego kilka groszy — odrzekł malec.

— A to jakim sposobem?...

— No... będę śpiewał:

„Był to sobie baraneczek,  
Baraneczek biały”,

Projekt ten rozśmieszył dzieci, lecz wesolość ich była krótkotrwała, grzmot silny uderzył i grube krople deszczu zaczęły padać... zrozumieli, że muszą szukać jakiegokolwiek schronienia...

Melcia objęła w pół braciszka i biegnąc ciągnęła go za sobą, deszcz zimny i gęsty przesiąkał ich ubrania... trzewik Iwonka ugrzązł w błocie, bosa noga dziecka zmočila w jednej chwili.

— Czekaj Melciu, zgubiłem trzewik...

Melcia schyliła się i wytarła mu nóżkę własnymi rękami, zanim włożyła zgubiony trzewik.

— Już nie mogę iść dalej... jesteśmy w dużym lesie... końca drogi nie widać.

— Nie możemy nocy przepędzić na tym deszczu... chodź... błagam cię... jeszcze kawałeczek.

— Chciałbym, ale chcieć to nie dosyć... nogami nie mogę poruszać, idź sama siostrzyczko, przyjdiesz po mnie jeżeli znajdziesz dom jakiś lub schronienie...

— Zostawić cię tu samego!.. O! Iwonku! jak mogłeś przypuścić coś podobnego?

— Słuchaj, pójdę jeszcze do końca tej drogi... ale ani kroku dalej...

— Weź mnie pod rękę i oprzyj się na niej mocno.

— Czyż ty nie jesteś zmęczona? — zapytał chłopczyna głosem tak osłabionym, że zaledwie go było słychać.

— Nie, nie, ja jestem bardzo silna, możesz się mocniej opierać na mnie.

Szli powoli przez pół godziny. Wszakże Melcia czuła, że brat jej prawdę powiedział, że niedługo upadnie, noc w tych warunkach, była to śmierć dla obojga... A nokoło cisza... nie słycać turkotu, nie widać ani człowieka, ani domu! Iwonek tak obwisnął, że dwoma rękami musiała go podtrzymywać, by nie upadł... pociągnęła go na drugą stronę drogi i posadziwszy na ziemi plecami oparła o stos kamieni, sama weszła na wierzch by się przekonać, czy nie ujrzy gdzie w dali jakiego schroniska.

— Iwonku — zawołała po chwili — widzę schronienie, może zdołamy urządzić sobie nocleg.

To mówiąc, Melcia podniosła brata i z trudem zdołała go przeprowadzić kilkanaście kroków dalej. Schronienie które dostrzegła, było to rodzaj budki skleconej z desek... coprędzej wprowadziła do niej Iwonka.

Ziemia nie była tu jeszcze bardzo wilgotną... ale ani mchu ani liści na posłanie nie było, chłopczyna zbity i wycieńczony osunął się na ziemię jak długi.

Pomiędzy deskami były szpary, przez które woda dostawała się powoli, najprzód kropla po kropli, a później

coraz obficie w miarę jak deszcz się wzmacniał... Pomimo to Iwonek zasnął, ale snem gorączkowym... zrywał się, przywoływał matki... później siostry.

— Mój Boże! Mój Boże, my Cię tak kochamy!... nie opuszczaj nas!... zmiłuj się nad nami... — jęczała Melcia, której widok Iwonka serce rozdzierał. Z zupełnym zapomnieniem o sobie położyła się obok braciszka, by go rozgrzewać. Fartuszką ocierała wodę z twarzy i rąk jego, staraniem swoim, zaparciem się siebie — była prawdziwą mateczką, o głodzie i zmęczeniu własnym nie pamiętała...

Godziny pełne śmiertelnego niepokoju upływały wolno. Noc nadeszła, burza uśmierzyła się trochę, lecz natomiast, wzrosła obawa Melci... Przysłuchiwała się wszystkim leśnym szmerom, szumowi wiatru i krzykom sowy, która się umieszcila na pobliskim drzewie...

A wieleż razy trzask łamanych gałęzi zapewne pod stopami jakiegoś zwierzęcia, o słuch jej się obili...

Były to może króliki, wilki lub lisy? Melcia nie знаła żadnego z tych zwierząt i trwoga jej była jeszcze większą; w wyobraźni widziała wielkie, dzikie zwierzęta gotowe pożreć Iwonka.

Trzymała go za rękę, a ręka ta pomimo zimna była pałająca. Od czasu do czasu błyskawice oświecały drzewa, a w ich blasku żółte deski stawały się niebieskimi. Ta jasność chwilowa nietylko, nie uspokajała biednej dziewczynki, ale przeciwnie — przejmowała ją gorszą obawą na widok ponurej samotności lasu. Gałęzie bez liści wyglądały, jak ręce rozpostarte i błagające o litość... Od tak dawna było ciemno, iż połowa nocy musiała już pewnie upłynąć. Wtem Melcia posłyszała krzyk tak rozdzierający i bolesny, że dreszcz ją przeszedł od stóp do głowy. Zacięta walka toczyła się na drzewie, szelest skrzydeł, piór, i znów jęk jakiegoś ptaszka, a później głos sowy, wszystko to przekonało ją że jakiś biedny kos lub szpak dostał się w szpony krwiożerczego nieprzyjaciela; Melcia krzyknęła, by go nastraszyć.. Poruszyły się gałęzie, dał się słyszeć ciężki lot, i w tejże samej chwili coś małego upadło na budkę. Domyślała się Melcia, że chociaż udało się jej oswobodzić ptaszka ze szponów napastnika, biedactwo już nie żyło... Pomimo żalu, jaki czuła, nie mogła się oprzeć radości, że jutro biedną ofiarę upiecze Iwonkowi na śniadanie... może go to trochę pokrzepi.

Tymczasem Iwonek skarżył się i jęczał, zęby mu szczękały, dreszcze wstrząsały całym ciałem. Melcia ułożyła mu główkę na swoich kolanach i sukienkę podłożyła pod niego, by nie leżał na ziemi wilgotnej. Sama czuła się tak zmęczoną tą straszną nocą, że zapytywała w duchu sama siebie, czy wytrzyma opuszczona i bez pomocy w tej budce, która za ochronę nawet służyć nie mogła.

— Och! mój mały Iwonku! — wołała po cichu — jakie to okropne, że ja ci nic pomódz nie mogę! I prosto wała się biedaczka z obawy, by jej sen nie ogarnął i nie przeszkodził w czuwaniu nad bratem.

Czas włókł się wolno. Około czwartej sen ją pokonał, światło dzienne obudziło ją wkrótce.

(d. c. n.)

## N A D A S A N A.

Złości się Walerka, złości się od rana,  
 Ściska małe rączki, chodzi nadąsana,  
 Wykrzywiła buzię, jak jakie straszdydło,  
 A od gniewnych zmarszczek aż jej czoło zbrzydło.  
 — Fe! jak ty wyglądasz, przejrzyj się, Walerko!  
 Powiedziała mama, dając jej lusterko,  
 Mimowoli tylko spojrzała w nie mała  
 A to co? krzyknęła i wnet się rozśmiała.  
 — Ja nie jestem chyba tak szkaradną mamó?  
 — Wtedy, gdy się złościś, wyglądasz tak samo,  
 To lustro zupełną prawdę ci powiada.  
 — Taką, jak widziałam, zostałbym nie rada,  
 — Ha! jak się tak zgniewasz raz drugi i trzeci,  
 To buzia się całkiem wykrzywi, zeszpeci,  
 Te zmarszczki nieładne przyrosną do czoła...  
 — O! tego nie będzie! Walerka zawoła,  
 Ustaną te gniewy, mamunia zobaczy!  
 I prawda, boć teraz zupełnie inaczej:  
 Wesole oczęta, pogodna też minka,  
 I oto z Walerki miluchna dziewczynka.

*Helena Bojarska.*

## NA LETNIEM MIESZKANIU.

— Mamo, Piątek powiedział, że mnie zbije. Co on  
 sobie myśli? — wołał mały Janek, biegnąc do matki.  
 — Któż to jest ten Piątek? — zapytał ojciec, który  
 siedząc na werendzie, słyszał skargę Janka.  
 — Chłop.  
 — Zapewne rolnik, wieśniak chciałeś powiedzieć —  
 rzekł z naciskiem ojciec. — Nie myślę, żebyś miał pogar-  
 dzać nim dla tego, że zajmuje się uprawą roli.  
 — Ale on jest prostak, nic nie umie — zawołał  
 Janek.  
 — Ty również niewiele umiesz.  
 — Bo ja się jeszcze nie nauczyłem.  
 — I Piątek się nie uczył — rzekł ojciec — a posiada  
 mimo to wiele wiadomości, o których ty nie masz nawet  
 pojęcia. Wie na jakim gruncie trzeba siać żyto, pszenicę,  
 owies. No, ale mniejsza o to; cóż zaszło między wami?  
 Musiałeś przecież coś zrobić takiego, co mu się nie podo-  
 bało, jeżeli cię obiecał zbić, jak powiadasz.  
 — Nic nie zrobiłem, proszę tatki, zbierałem sobie  
 kwiatki około żyta.  
 — A w żyto nie wchodziłeś? — zapytał ojciec.  
 — Tam było tyle bławatków...  
 — Proszę cię, Janku, odpowiadaj mi na pytanie:  
 wchodziłeś w żyto?  
 — Tak.  
 — A wiedziałeś, że tego robić nie wolno?  
 Janek zaczerwienił się, bo chciał skłamać, ale się  
 w porę powstrzymał.  
 — Wiedziałem — szepnął zmieszany.

— Więc Piątek miał zupełną słuszość i zamiast  
 biedz na skargę do mamy, należało raczej przeprosić go  
 i obiecać, że nigdy już tego nie uczynisz.

— Co, ja mam go przeprosić? — zawołał Janek.

— Przeprasza ten, kto zawinił, rozumiesz? — rzekł  
 ojciec, podniesionym głosem. — Słuchaj-no, mój Janku,  
 z prawdziwą przykrością zauważyłem, że lekceważysz  
 ludzi niżej postawionych od siebie, a raczej od two-  
 ich rodziców. Być rolnikiem jest takim samem zajęciem  
 jak być doktorem, inżynierem, kupcem, rzemieślnikiem,  
 idzie tylko o to, jak człowiek wywiązuje się ze swego  
 obowiązku, i pod tym względem, mój Janku szczególnie  
 wyróżniają się właśnie rolnicy. Szewc źle zrobi buty,  
 a może je sprzedać jako dobre; nieuczciwy kupiec może  
 policzyć drogo za zły towar. Rzecz naturalna, udać im  
 się to może raz, dwa najwyżej, potem, kiedy to ludzie  
 spostrzegą, nikt z podobnym człowiekiem nie zechce  
 mieć do czynienia. Rolnik zaś pracuje w ziemi, która nie  
 pozwoli się ani razu oszukać. Jeżeli źle zaorze, nie zej-  
 dzie mu żyto; musi więc być sumiennym i pracowitym.  
 Żyto Piątka, jak stąd widzę, bardzo pięknie obrodziło; do-  
 wodzi to, że nie żałował trudów, a ty chcesz, aby bezkar-  
 nie pozwolił niszczyć swą pracę! Pomyśl tylko, że wtedy,  
 kiedy ty siedzisz w cieniu, przed upałem, on pali się na  
 słońcu z pługiem albo sierpem; kiedy ty spiszesz jeszcze  
 o godzinie ósmej, wstajesz niechętnie o dziewiątej, on od  
 czwartej rano pracuje w polu. Nie, moje dziecko, my  
 rolników powinniśmy szanować, bo im wiele zawdzięcza-  
 my. A teraz — zakończył ojciec Janka — kiedy ty nie  
 chcesz iść go przeprosić, ja to uczynię za ciebie.

— Już ja pójde — zawołał Janek, którego najbar-  
 dziej przekonało to, że biedny Piątek musi tak wcześniej  
 wstawać, a pewnie okropnie mu się nie chce zrywać z  
 łóżka.

— Dobrze, i ja pójde z tobą — powiedział ojciec,  
 i Janek razem z ojcem poszedł do pobliskiej chaty Piątka.

Piątek zdziwił się niezmiernie, ujrawszy Janka  
 u siebie, a jeszcze bardziej, gdy przybyły z nim pan uści-  
 szał mu życzliwie rękę na przywitanie i przeprosił za wy-  
 rządzoną szkodę; bo w samej rzeczy żyto w kilku miej-  
 scach było bardzo stratowane.

Łzy zabłysły w poczciwych szarych oczach rolnika.

— Jacy panowie dobrzy...

Ojciec Janka nie pozwolił mu dokończyć.

— Moi kochani — rzekł — zajmijcie się moim chłop-  
 cem; niech nauczy się rozróżniać pszenicę od żyta, ja-  
 skółkę od drozda; pokażcie mu, że posiadacie niejedną  
 pożyteczną wiadomość, że można od was i nauczyć się  
 i skorzystać, a przedewszystkiem niech nauczy się kochać  
 rolę i tych, którzy na roli pracują.

— Ja już ich kocham — zawołał żywo Janek.

Kiedy po chwili wracali na werendę, gdzie czekały  
 na nich świeże poziomki, Janek przycisnął do ust rękę  
 ojca i rzekł nieśmiało.

— Jaki on dobry, tatusiu, że mi przebaczył. Wie  
 tatko, on nie zaraz groził, że mnie zbije, tylko najprzód  
 zawołał, że nie wolno w żyto wchodzić, ale ja mu nie bar-  
 dzo grzecznie powiedziałem:

— Cicho chłopie! i wtedy mi dopiero pogroził.

Ojciec surowo spojrzął na syna, ale ujrzał w jego

oczach łzy szczerego żalu, więc się już nie gniewał, tylko powiedział smutnie:

— Bardzo źle postąpiłeś. Tembardziej powinienesz szanować to serce, które ci umiało tak szlachetnie przebaczyć; ale pamiętaj, że obowiązkiem twoim jest starać się rzeczywiście zasłużyć na przebaczenie.

Przez cały czas wakacyi, Janek żył w wielkiej przyjaźni z Piątkiem, od którego nauczył się wielu ciekawych rzeczy, dotychczas zupełnie mu obcych. A że rodzice Janka wynajęli na przyszłe lato to samo mieszkanie, więc Janek obiecał nauczyć Piątka czytać i pisać, chociaż sam dopiero zaczął sylabizować.

H. Go—t.

SZARADA.  
przez E. M.

*Pierwsza rzeką, a druga ostrze broni  
W czasie pokoju osłania i chroni;  
Druga zaś z trzecią zbliżona i zdaleka  
Brzmi wielkim czynem, zasługą człowieka.  
Wszystko chlubna, gdy słuszna, sprawiedliwa;  
Niezasłużona wstydem nas okrywa.*

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.  
ułożyła Poziomka.

1 a . . . . . W kwadracie o ośmiu  
2 . b . . . . . przedziałkach ułożyć wy-  
3 . . c . . . . . razy ośmiogłoskowe, aby  
4 . . . d . . . . . litery oznaczone litera-  
5 . . . . e . . . . . mi złożyły nazwę chrze-  
6 . . . . . f . . . . . ścijszańskich potomków da-  
7 . . . . . g . . . . . wnych Egipcyan. 1) Filo-  
8 . . . . . h . . . . . zof grecki. 3) Imię boha-  
tera z początku naszego stulecia. 4) Jeden z miesięcy.  
5) Kraj w środ. Azji. 6) Dawniejsze księstwo naddunaj-  
skie. 7) Królestwo w półn. Europie. 8) Mieszkańcy króle-  
stwa na półwyspie Bałkańskim.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 26-go

Szarady: K a o l i n .

Łamigłówni kryształowej:

H  
M a k  
W a n d a  
H a n o w e r  
D a w i s  
N e r  
r

Zagadki: K o ł o .

Skrzynka do listów.

Szczerocść, z jaką wyznajesz *Stasiu K.*, że w Wieczorach zajmują cię tylko powieści, a nudzą poważniejsze artykuły, odpłacamy życzliwą radą, iżbyś przyzwyczajała się potrochu do owego czytania poważniejszej treści, które tem jest dla umysłu, czem pożywny pokarm dla ciała. Jak niezdrowo byłoby karmić się samemi łakociami, tak też i czytanie samych powieści zdrowem dla umysłu być nie może.

Oddajemy pochwałę *Broni B.* nietylko za jej dobre serce, ujawnione darem rs. 3 na kolonie letnie i obrazkami dla chorych dzieci w szpitaliku, ale jeszcze za staranność i dokładność z jaką owe obrazki naklejone były.

Dobrze rozwiązała łamigłówni *Regina S.*, niemniej jak żelazny *Gołąb*, który tylko małą pomyłką zrobił w rozwiązaniu kwadratu magicznego.

Łamigłówni swego układu nadesłali: *Lillo Weneda*, biały *Gołąbek* i *Regina S.*

Mówisz *Słowiku* z nad *Łubiany*, że nie obawiasz się słońca; nic w tem dziwnego, w ciepłych jego promieniach lubuje się cały nasz ród skrzydlaty, ale zdaniem mojem, miano „zucha dziewczyny” łacniej niż ogorzała twarzyczka, jednac ci powinno krzątanie się energiczne około gospodarstwa, utrzymywanie w porządku domu i ogrodu, oraz samoistna praca nad wykształceniem umysłu.

Słusznie dowodzisz *wesoła Figlarko*, że dopiero po sumiennej pracy człowiek przyjemności zabawy w pełni używać może; życzyć ci też, iżby każde wakacje równie pomyślnym jak w tym roku ukończeniem nauk były poprzedzone.

Chwałę ci *Lillo Wenedo* że lubisz skakać, biegać, używać swobody młodocianych lat swoich, na powagę dość będzie czasu później, gdy obowiązki życia trudniejszymi się stawaą, a ludzie zaczyna więcej od ciebie wymagać, dziś śmieję się wesoło, a wesołością swoją ożywiaj i rozjaśniaj oblicza wszystkich otaczających. Żądania twoje powtórzyłam *Redakcyi*, która zawsze je uwzględnia, o ile to jest możliwem.

Nie mylisz się *Strumyczku*, iż wielkiem dobrodziejstwem dla ubogiej dziatwy miejskiej jest: możność wycieczki na wieś w ciągu lata. Do wyświadczenia biednym dzieciom tego dobrodziejstwa przyczyniłaś się w pewnej częstocie, przesyłając własnoręcznie uszytą sukienkę.

W odpowiedzi na zapytanie twoje *Czarnuszko*, czy *Redakcyja* przyjmuje utwory małoletnich autorów, powtarzam to co już mówiłam nieraz, że trzeba wpiertw uczyć się pracować, a później dopiero probować sił swich na polu piśmienniczym, inaczej zaś jest to tylko próżna strata drogiego czasu, do której *Redakcyja* zachęcać nie może, przyjmując utwory podobne do druku, tem więcej, że im brak zwykle odpowiednich do umieszczenia warunków.

Widać, że uważnie czytujesz *Wieczory Ludko G.*, skoro szczegóły z życia *Heleny Keller* tak cię żywo zajęły, iż stawiasz mi cały szereg pytań odnośnie do sposobu, jakim kształca się głuchoniemi. Nie wchodząc tu w bliższe szczegóły, powiem ci tylko, że trudne to zadanie zarówno dla nauczających jak i dla uczniów ułatwia ze strony pierwszych gorące współczucie dla niedoli biednych istot, a ze strony ostatnich skupienie uwagi i pragnienie nabywania potrzebnych wiadomości. Kursa w szkołach głuchoniemych są urządzone na wzór kursów innych uczących się. Wyłącznie litery są tylko dla niewidomych, którzy rozpoznawać je mogą jedynie za pomocą dotykania więc i *Helena K.* innych znać nie mogła. Nauczyciele głuchoniemych nie są dotknięci tem kalcetwem. Głuchoniemi rzemieślnicy mogą tak samo zarabiac na życie jak inni, gdy się wyuczą dokładnie jakiegoś rzemiosła. Za obietnicę przesyłania opisu piękniejszych okolic zwiedzanych w podróży wdzięczną ci jest szczerze:

*Jaskółka.*